KRONIKA
AKTR CYKLISTA
2010

Skryba Michał Książkiewicz (01.01.2010-14.05.2010)

SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI....1
NOWOROCZNY RAJD PREZESA – KOLEJNA WYRYPA NOTECKA – 03.01.2010....2
ZEBRANIE – 13.01.2010....2
ZEBRANIE – 20.01.2010....2
RAJD ZIMOWY „DOSYĆ LENISTWA!" – 13.02.2010....2
ZEBRANIE – 17.02.2010....5
ZEBRANIE – 23.02.2010....5
ZEBRANIE – 03.03.2010....5
ZEBRANIE – 10.03.2010....5
ZEBRANIE – 17.03.2010....5
ROWEROWE POWITANIE WIOSNY OKOLICE ZŁOTOWA - 26-28.03.2010....5
ZEBRANIE – 31.03.2010....7
ZEBRANIE – 07.04.2010....7
RAJD DO ŚNIEŻYCOWEGO JARU – 11.04.2010....7
ZEBRANIE – 14.04.2010....8
ROWEROWY RAJD ZNICZOWY - 18.04.2010....8
ZEBRANIE – 21.04.2010....9
TRZEBNICKI MARATON ROWEROWY – 23-25.04.2010....9
ZEBRANIE – 28.04.2010....12
MAJÓWKA W MILICZU – 29.04.-03.05.2010....12
ZEBRANIE – 05.05.2010....19
RAJD DO ZIELONKI - 08.05.2010....20
RAJD NA POŁUDNIE - 09.05.2010....20
ZEBRANIE – 12.05.2010....20
WALNE ZEBRANIE – 15.05.2010....20

NOWOROCZNY RAJD PREZESA – KOLEJNA WYRYPA NOTECKA – 03.01.2010

Prowadzący: Paweł Przybylak
Uczestnicy: Kuba S., Wojtek Si., Krzychu A., Przemo C i Paweł P.
Rajd planowo miał się odbyć o 08:00 - zbiórka na stacji benzynowej koło Makro. Już jednak w drodze do Poznania dostałem sms-a od Wojtka że ma spory poślizg i spóźni się minimum pół godziny. Jak się później okazało poranne przymrozki skutecznie uniemożliwiły mu dostęp do autka i zanim się z tym uporał miał już spore opóźnienie. Ostatecznie wyruszyliśmy w trasę dwoma autami około 08:45. Dojechaliśmy do miejscowości Sowia Góra, gdzie zostawiliśmy nasze autka i ruszyliśmy już na rowerach w kierunku Lubiatowa. Jadąc żółtym szlakiem dotarliśmy do jezior Piersko i Świno, które minęliśmy odpowiednio po lewej i prawej stronie. Dalej kierując się wzdłuż prawego brzegu jezior Lubiatówka i Solecko dotarliśmy żółtym szlakiem do kolejnego jeziora – Rąpino. Tutaj odbiliśmy na północ w kierunku miejscowości Trzebicz. Kolejną miejscowością przez która przejechaliśmy był Osów z którego udaliśmy się do Trzebicza Nowego. Tam też zrobiliśmy sobie krótki postój przy budynku ochotniczej straży pożarnej. Zaraz obok znajdował się nieczynny sklep, nie przeszkodziło nam to jednak w zjedzeniu posiłku . Każdy z nas miał ze sobą przecież odpowiednie zapasy. Korzystając z pięknej pogody ogrzewaliśmy się w promieniach słońca. W końcu jednak trzeba było się ruszyć Pobawiliśmy się jeszcze chwilę jeżdżąc na rowerach po zamarzniętej kałuży po czym wróciliśmy na żółty szlak. Kilka chwil później znaleźliśmy się na niebieskim szlaku który doprowadził nas do jeziora Lubowo. Tutaj korzystając z pięknych widoków porobiliśmy kilka zdjęć po czym ruszyliśmy w dalszą podróż. Niebieskim szlakiem dojechaliśmy do drogi nr 160 która doprowadziła nas już prosto do Sowiej Góry. Podsumowując rajd był bardzo udany mieliśmy piękną pogodę umożliwiającą nam uwiecznienie wielu pięknych krajobrazów. Jak na początek stycznia i liczne opady śniegu które były w tym czasie w Puszczy Noteckiej było jednak zadziwiająco mało śniegu. No cóż może następnym razem będzie więcej białego puchu…
Dystans jaki udało nam się przejechać to 44,44 km, czas: 03:55:14, AVG: 12,38 km/h Prędkość max.: 26,76 km/h
Z rowerowym pozdrowieniem
Paweł Przybylak

ZEBRANIE – 13.01.2010

Kuba S., Mateusz R., Michał Z., Paweł P., Darek R., Krzysztof C., Mateusz R., Michał Z., Kuba S., Paweł P.

ZEBRANIE – 20.01.2010

Ewa N., Paweł P., Mateusz R., Kuba S., Michał Z., Krzychu A.

RAJD ZIMOWY „DOSYĆ LENISTWA!” – 13.02.2010

Zaczęło się… wcześnie bo ok. godziny 6.30 – kiedy to się obudziłem. Pierwszy rzut okiem za okno nie nastrajał optymistycznie – za oknem było widać jedynie straszną mgłę. Ale cóż – słowo o rajdzie się rzekło, więc rajd się odbędzie. Ok. 8.30 przybywając na miejsce zbiórki z wielkim zaciekawieniem spoglądałem czy ktokolwiek przyjedzie na rajd.

Ciekawość sięgała zenitu. Nagle… jedzie jeden rowerzysta. Serce zabiło mocniej, a na twarzy pojawił się uśmiech.. jedzie, jedzie… no i pojechał. Nawet nie spojrzał i pojechał w innym kierunku. Cóż – poczekałem akademicki kwadrans i wyruszyłem w trasę. Pozostało trasę odbyć z jedynym wiernym i zawsze gotowym do jazdy towarzyszem podróży – Kubusiem. Kubuś – zwany tudzież „Pszty Nucel" - zawsze chętnie wybiera się ze mną na wyjazdy rowerowe. Miejsce ma przy kierownicy i dzielnie znosi wszystkie warunki pogodowe. Tak wiec rzec można że było nas dwóch :)

Z ulicy Warszawskiej ruszyłem w kierunku Krańcowej aby dostać się do Koziegłów. Zalegający na chodnikach śnieg był bardzo śliski, ciężki i nasączony wodą. Było go dużo więc zapowiadało się że droga nie będzie łatwa. Po minięciu Koziegłów nastąpiło pierwsze poszukiwanie drogi aby wniknąć w głąb Puszczy Zielonki. Pierwszy drogowskaz w kierunku Dziewiczej Góry zignorowałem w obawie że skończy się na szczycie góry, lub ścieżką wydeptaną przez ludzi prowadzącą dalej. Była by to mało satysfakcjonująca opcja ponieważ śniegu w lesie zalegało dobre 30-40 cm więc bez drogi którą wcześniej przejechał spych – mogło by być ciężko.
Tuż za Kicinem udało się znaleźć drogę która ochoczo zmierzała w kierunku puszczy. Była odgarnięta przez spych więc dało się nią przejechać rowerem. Widoki zaczynały robić się naprawdę piękne. Pola zawiane grubym kożuchem śniegu i gdzieniegdzie chatki zasypane nie mniej niż pola. Opcji jazdy nie było za dużo bowiem bocznymi drogami leśnymi nie dało się jechać, więc dalej kierowałem się odśnieżoną drogą. A owa odśnieżona droga zaprowadziła mnie do miejscowości Dębogóra. Tam z kolei dotarłem do poprzecznej drogi – trzeba było wybrać - w prawo albo lewo. Jako że droga była asfaltowa i poruszały się nie czasami auta – zrezygnowałem z przejazdu właśnie nią. Mgła była taka iż widoczność nie przekraczała kilku metrów. Postanowiłem więc zawrócić przypominając sobie iż w wiosce była jedna droga która wiodła w kierunku lasu. Droga była.. ale niestety odśnieżona do najbliższych zabudowań. Dalej widać było nawet ciągnik nie dawał rady bo śniegu było ze 40 cm. Pozostało wrócić do owej zamglonej drogi i ruszyć w kierunku Tuczna. Po drodze spotkałem również pewnego rowerzystę jadącego z piłą motorową. Mało że nie posiadał oświetlenia to dziwnie kołował po całej drodze. Jak się okazało w Tucznie – gdzie zrobiłem sobie małą przerwę na herbatę – owy rowerzysta dotarł szczęśliwie do Tuczna.
Dalej kierowałem się w kierunku Stęszewka. Gdy już do niego dotarłem - dowiedziałem się od spotkanego pana iż wszystko w okolicy jest zasypane i nie mam co się dalej wybierać. W/g Pana nawet droga którą przyjechałem była zasypana i nie da się nią jechać. Widać było iż Pan był zakłopotany wobec ilości śniegu jakie tam spadły.
Ja oczywiście niczego nie świadomy i żądny przygód postanowiłem zignorować te uwagi i ruszyć trochę wg mapy, trochę na azymut w kierunku Dąbrówki Kościelnej.
Droga była już gorsza – spycha tamtędy przejeżdżał, ale widać już nieco dawniej i było sporo śniegu nawianego z pól. Plusem zasypanej drogi był fakt iż można było jechać tylko tą drogą którą się jechało – albo zawrócić. Dróg odbijających w bok na odcinku do Dąbrówki Kościelnej było – może z dwie – trzy.
W Dąbrówce Kościelnej kolejny dłuższy odpoczynek. Sama wioska trochę zasypana – trochę bardziej niż liczyłem. Po bokach zaspy na wysokość metra, a czasami półtora. Droga odśnieżona na szerokość jednego auta.
Trochę zmartwiłem się godziną która mnie zastała bowiem dochodziła 13 więc plan powrotu do Poznania na 15 zaczynał być mało prawdopodobny. Cóż – biorąc pod uwagę iż Puszcza Zielonka NIEzamieszkała nie jest – liczyłem że przynajmniej spych odśnieży drogę dojazdu do Zielonki. W końcu jest tam kilka zabudowań. Niestety trochę się przeliczyłem. Drogą dało się przejechać ale.. jeapem, autem 4x4… no… i oczywiście rowerem :)

Przy wyjeździe z Dąbrówki Kościelnej spotkała mnie niemiła niespodzianka – mianowicie złapałem panę (dziura) w przednim kole. Mając na uwadze że nie było najwcześniej, a był to najdalszy punkt od domu – trochę mnie to zmartwiło. Ruszyłem żwawo w kierunku Zielonki.
Droga była trudna. Jechać dało się tylko koleinami pozostałymi po aucie, a i tam często koła zapadały się w śniegu. Sam śnieg był potwornie ostry, ciężki, kruchy – to nie ten sam śnieg co przy temp. -10 stopni. A szkoda – bo jechało by się dużo lżej.
Wg moich obliczeń mapowo-azymutowych z miejscowości Dąbrówka Kościelna powinna prowadzić droga asfaltowa, czy też utwardzona do Głęboczka. Jako że dukt z Dąbrówki w kierunku Zielonki był zupełnie nieprzejezdny zacząłem kierować się tam gdzie droga pozwala. Droga była ciężka – po jakimś czasie bolały mnie nawet plecy od ciągłego balansowania aby jechać w koleinie po samochodzie. Trudną drogą wynagradzały widoki – zasypane drzewa i pełne otoczenie lasem:)
Prędkość spadała, temperatura ciała rosła. Często trzeba było jechać na „młynku" (przełożenie 1x1) bowiem inaczej było ciężko – a już przy takim przełożeniu można było się zgrzać.
Miejscowość Głęboczek niosła ze sobą nadzieje iż.. kolejna wioska – pewnie znajdą się jakieś bardziej przejezdne drogi – w końcu ludzie jakoś poruszać się muszą. Nic bardziej mylnego. Do Głęboczka prowadziła jedna odśnieżona droga gdzieś z kierunku Murowanej Gośliny i to wszystko. Liczyłem na to iż bliskie położenie Głęboczka i Zielonki zaowocuje jakąś przejezdna drogą – znowu nic bardziej mylnego. Wybrałem więc drogę na mapie i postanowiłem się nią udać. Do zielonki było nie daleko więc założyłem iż najwyżej trzeba będzie iść pieszo. I tak się stało. Po około kilometrze drogi ślady po autach skończyły się na ostatnich zabudowaniach i pozostał jeden ślad po jakiś aucie terenowym. Jazda była bardzo ciężka bowiem rower się momentalnie zakopywał, natomiast prowadzenie roweru było męczyło jeszcze bardziej bowiem trzeba było iść, pchać rower i jeszcze co chwile wyciągać go ze śniegu bo pchanie stawało się niemożliwe (za duże opory). Zużycie energii wyraźnie wzrosło co było widać w odpiętej kurtce i zdjętej czapce. Niestety efekt ten nie szedł w parze z prędkością – ona spadała. Widoki były naprawdę ładne – po prawej stronie widać było dolinkę z rzeczką i wszystko, wszystko dookoła zasypane śniegiem :)
Docierając do Zielonki – mając na uwadze że są tam ośrodki edukacyjno- naukowe liczyłem że jakaś komunikacja z Poznaniem być musi. Znowu nic bardziej mylnego – komunikacja jest – i owszem – ale przez Murowaną Goślinę.
Znajdując drogę w kierunku Pławna postanowiłem się nią udać. Droga była odśnieżona przez spych i dało się nią jechać –czasami nawet z prędkością 20 km/h co było wręcz tempem porywającym w porównaniu do poprzedniego odcinka.
Liczyłem że z Pławna uda się przez las przejechać jakieś 4-5 km i wyjechać niedaleko Kicina. Rozmowa ze spotkanym tubylcem uświadomiła mnie że jest jedna, jedyna droga w kierunku gdzie zmierzałem i nie do końca tam gdzie chcę dotrzeć. Owa droga prowadziła do Tuczna. Wiedząc jak wymęczyły mnie ok. 2 km prowadzenia roweru zrezygnowałem z prowadzenia (ciągnięcia) roweru przez kolejne 5-6 km i postanowiłem ruszyć w kierunku Tuczna. Droga nie należała do najłatwiejszych i już kilkaset metrów za wioską skręcała z duktu prowadzącego odo Tuczna. Zmartwiło mnie to bowiem zaczynało się robić ciemno a błądzenie w zasypanej Zielonce nie było po mojej myśli. Szybkie spojrzenie na mapę – w okolicy Tuczna nie ma żadnej drogi do której mogła by prowadzić zbaczająca droga – wniosek ? – musi prowadzić do Tuczna. Tak też się stalo. Po drodze wiodła jeszcze przez Czernice tworząc trójkąt.
Droga była trudna o tyle iż pewien lokalny kierowca postanowił urządzić sobie kulig, co spowodowało iż droga była pełna wzdłużnych przecięć/kolein po których rower jechał to na prawo, to na lewo – ale nie za bardzo do przodu. Upuszczenie powietrza również nic nie pomogło. Pozostało zacisnąć zęby i żmudnie pracować nad techniką jazdy.

Docierając do Tuczna – mimo iż martwiła mnie odległość jaką musiałem pokonać do Poznania – czułem się już nieco pewniej – w końcu wiedziałem jak daleko mniej więcej jest do Poznania. Po krótkim posileniu się w lokalnym sklepie ruszyłem w dalszą drogę.
A dalsza droga nie była łatwa. Mimo wkładania sporej ilości sił prędkość trudno było utrzymać na poziomie 20 km/h. Niestety musiało minąć trochę czasu aby zapaliła mi się zielona żarówka i zabłysną pomysł aby dopompować powietrza do kół. Zabieg pomógł – prędkość wzrosła do 24-25 km/h. Na drodze zaczynało się też robić coraz ciemniej więc nie było co szczędzić sił, tylko asfaltowymi drogami pędzić do Poznania. I tak Karłowice, Wierzonka, Kliny, Kicin i Koziegłowy minęły dość szybko.
Wycieczkę udało się zakończyć ok. godziny 18.30 kiedy to licznik roweru wskazał ok. 75 km.

ZEBRANIE – 17.02.2010

Michał Z., Darek R., Marzena S. , Krzysztof C.

ZEBRANIE – 23.02.2010

Paweł O., Kuba S., Krzychu A., Mateusz R., Ewa N., Paweł P., Michał Z.

ZEBRANIE – 03.03.2010

Darek R., Borys, Mateusz R., Michał Z., Kuba S.

ZEBRANIE – 10.03.2010

Ewa N., Kuba S., Darek R., Magda, Mateusz R., Zbyszek N., Paweł P., Krzychu A., Michał Z., Maciej D.

ZEBRANIE – 17.03.2010

Darek R., Krzysztof C., Mateusz R., Michał Z., Kuba S.

ROWEROWE POWITANIE WIOSNY OKOLICE ZŁOTOWA - 26-28.03.2010

Pomysł, gdzie jechać na tegoroczny RPW, wymyśliła Ewa. Ja bardzo się tym wyborem ucieszyłem, ponieważ mam duże zaległości w trackowaniu tego terenu. Wyszło na to, że ostatecznie jeździliśmy po znakowanych szlakach rowerowych okolic Złotowa i Jastrowia, które wcześniej „wklikałem" do mojego Garmina. Zaoszczędziło to nam czasu, zwyczajowo przeznaczonego na gubienie się.
Ku mojemu zdziwieniu Natalia bez problemu puściła mnie samego na trzydniowy rajd, chyba powodowana moją sporą masą. Hurra! Dawno nie byłem na „wyjazdowym" rajdzie klubowym, zapomniałem już, jak jest fajnie.
No to jedziemy…

Oczywiście samochodami. Ze mną jedzie Zbyszek Nawrocki, z Pawłem… nikt, bo Michał Zgoła zrejterował w ostatnim momencie. Reszta dojedzie później.

Wyjeżdżamy wieczorem 25-go. Nocleg zaplanowany mamy w Górznej, w połowie drogi pomiędzy Jastrowiem i Złotowem. Gdy docieramy na miejsce jest już ciemno, a gospodarstwo agroturystyczne okazuje się zadymioną do granic możliwości gospodą pełną miejscowych pijaczków z obskurnymi pokoikami „gościnnymi" na pierwszym piętrze. Na razie nie mamy wyjścia, zostajemy. W nocy drze się jakiś pijus. Zasypiam dopiero wtedy, gdy i on się uspokaja.

PIĄTEK, 26.03

Dziś ma być jedyny ładny dzień długiego weekendu. Bez zbędnego ociągania wstajemy, jemy przygotowaną przez gospodarzy jajecznicę z niezbyt świeżym pieczywem i herbatą w szklankach bez uszek lub koszyczków, wyciągamy rowery i – w trójkę zagłębiamy się w lesie. Początkowo droga jest grząska i widać gdzieniegdzie prześwitujące płaty śniegu i lodu, ale generalnie miało się okazać, że to była tylko taka „ściema" na wyjątkowo mało nasłonecznionym odcinku leśnej drogi.
Robimy piękną, wręcz cudowną trasę terenową: Górzna – Ptusza – Wrzosy – dookoła jezior Krępsko Radlno i Krępsko Górne (najlepszy odcinek, pełen widokowych singletracków wzdłuż brzegów) – znów Wrzosy – Płytnica – Krępsko – Plecemin – Sokolno – Tarnówka – Osówka – Piecewo – Górzna (77 km). Zmęczeni, ale uradowani fajną trasą przy pięknej pogodzie postanawiamy… zmienić miejsce noclegu na pobliski hotel 3-gwiazdkowy (sic!), który był droższy, ale oferował luksus nieporównywalny z badziewiem w Górznej. Oczywiście zadzwoniliśmy do tej reszty, która miała dojechać, z pytaniem, czy to akceptują, ale nie było problemu. Wzięliśmy prysznic i moim samochodem pojechaliśmy do Piły po Ewę. Poszliśmy razem do pizzerii, ale miała awarię i musieliśmy zadowolić się kebabami.

SOBOTA, 27.03

Pogoda – zgodnie z prognozami – popsuła się. Leje. Jeszcze przed śniadaniem na rowerach ze stacji PKP w Jastrowiu dojechali: Kuba Stankowski i Wojtek Surażyński. Nieco ociągając się, poczekaliśmy, aż deszcz zamienił się w lekką mżawkę i wyruszyliśmy. Na początku było nawet miło. Szerokim łukiem ominęliśmy Górzną i szlakiem rowerowym podążyliśmy w kierunku Złotowa. Niestety, po chwili pogoda ostatecznie popsuła się i coraz mocniej padało. Przejechaliśmy przez Złotów i skierowaliśmy się szosą na południowy wschód, ale już we wsi Święta byliśmy tak przemoczeni, że zapadła decyzja o powrocie. Nie chcieliśmy jednak wracać tą samą drogą, kusił nas ciekawie wyglądający nasyp kolejowy na południe od szosy. Niestety, zatrzymał nas rozebrany wiadukt. Ostatecznie wróciliśmy tą samą drogą, pod wiatr i zacinający deszcz, kilometraż dnia zamykając liczbą 47.

Na pocieszenie po ablucjach pojechaliśmy na pizzę do Jastrowia.

NIEDZIELA, 28.03

Niespodziewanie okazało się, że pod względem rowerowym miał to być bardzo udany dzień. Paweł to przeczuł. W sobotę miał wracać do Poznania, aby w niedzielę wziąć udział w poznańskim półmaratonie. Ostatecznie został z nami chyba nie żałował. Słońca tego dnia było niewiele, to jednak nie padało i bardzo przyjemnie się jechało. Tym razem wyruszyliśmy na północ, wzdłuż Gwdy do Okonka. Już ten odcinek dostarczył nam wiele radości, jednak najlepsze czekało nas dopiero za Okonkiem. Otóż stamtąd „specjalnym szlakiem terenowym" wyruszyliśmy w stronę Lędyczka, wzdłuż rzeki Czarnej. Cóż to jest za wspaniały, widokowy szlak, o charakterze nieomal górskim… Żal tylko, że tego dnia nie wziąłem lustrzanki błędnie przewidując, że będzie lało i nie będzie okazji do robienia

zdjęć! Z Lędyczka wracaliśmy drugim brzegiem Gwdy do samego hotelu, bijąc rekordy prędkości na długiej, monotonnej, prostej jak drut drodze leśnej. Czysta przyjemność z jazdy!

Po hotelowym obiadku (ogromna micha zupy gulaszowej, pięknie podane pierogi) bez większych przygód wróciliśmy samochodami (Kuba i Wojtek pociągiem) do Poznania. Po drodze zahaczyliśmy jeszcze o punkt widokowy w Ujściu. Ewa, Paweł i Zbyszek byli tam pierwszy raz.

Chyba uczestnicy RPW'10 zgodzą się ze mną: to były udane trzy dni.

Andrzej Kaleniewicz

ZEBRANIE – 31.03.2010

Kuba S., Mateusz R., Michał Z., Przemysław C., Ewa N., Paweł P.

ZEBRANIE – 07.04.2010

Ewa N., Paweł P., Mateusz R., Darek R., Michał Z., Przemek, Maciej D., Borys

RAJD DO ŚNIEŻYCOWEGO JARU – 11.04.2010

W niedziele na 10 przy Marychu stawili się: Michał Z. team full GT, Zbyszek N. team ukryty Author no i prowadzący Robert M. Team treking Cannondale. Pogoda niestety z rana nie dopisywała. Było pochmurno i czuło się w powietrzu deszcz. Przewidywałem, że może nawet nie być nikogo przy Marychu, chociaż zapowiadało się trochę osób, które ostatecznie nie przybyli ;(. Na szczęście dwóch zdecydowało się ze mną wybrać. Ku pokrzepieniu mojemu zjawił się Zbyszek, który schlebił mi mówiąc, że jak ja się zjawiam na rajdzie to On musi też.

Teraz trochę wstawię maila od Michała Z., którego rower zaliczał pierwszy rajd z Cyklistą. „był brodaty Lopi, surfujący Zbyszek i ja. Zrobiliśmy około 70km (nie resetowałem starym zwyczajem licznika bo szczęśliwi kilometrów nie liczą) + 20 parę km swojego dojazdu. Po powrocie wprawdzie ledwo człapałem w domu po schodach, ale nogi mnie niestety dzisiaj nie bolą - widać za mało jednak zrobiliśmy a moja słaba końcówka rajdu to kwestia niedożywienia :) Ale przynajmniej szybciej sadło zleci.... MAŁA ale się ZNAJĄCA SIĘ "chociaż z imienia" grupka, jadąca NORMALNYM tempem gdzie i jak chce, przed i po Śnieżycowym MOGŁA sobie dodatkowo POBŁĄDZIĆ po LASACH i chaszczach. Potem w dogodnym miejscu SPONTANICZNA wyżerka bez wymiecenia zasobów sklepu - ogólnie sama PRZYJEMNOŚĆ z jazdy i KONTEMPLOWANIA przyrody. Grupka ZMĘCZONA ale UCHACHANA po uszy... Michu któremu ciężko było zsiadać po rajdzie z czarnego jak smoła i leciutko przybłoconego mustanga, pędzącego z lekkością wiatru po piaskach i płynącego bez trudu po dziurach .ihaaa :)"

Umieszczam ten fragment maila, bo w zupełności zobrazowuje mój rajd, na którym był deszcz, błoto, piach w drodze do Śnieżycowego Jaru. Zaś w drodze powrotnej nie obyło się bez stworzeniem nowych tras przeskakując co jakiś czas przez groble od Warty, później wyszło ładne słoneczko no i przez Biedrusko asfalcikiem pocieliśmy. A na koniec deser techniczny Zbyszek nam dał, prowadząc drogami gdzie straciliśmy resztkę sił.

A teraz trochę trasy. Od Marycha pojechaliśmy szlakiem Nadwarciańskim i dopiero w Starczanowie odbiliśmy do Śnieżycowego. Trochę popatrzyliśmy na resztki Śnieżyc, a potem pojechaliśmy na bobry. Niestety tylko ślady po nich były (pogryzione drzewka). Dalej pojechaliśmy przez jakieś chaszcze i wyskoczyliśmy w Złotoryjsku, no i potem już asfaltem przez Biedrusko do Moraska. Przez Morasko Zbyszek już polnymi dziurawymi drogami doprowadził nas na pętle pestki i tam zakończyliśmy rajd mając na liczniku coś ok.70+ km.
Pozd i do zobaczenia na dwóch kółkach
Robert

ZEBRANIE – 14.04.2010

Zbyszek N., Mateusz R., Kuba S., Ewa N., Paweł P., Paweł P., Marzena S. , Krzysztof C., Robert M., Michał Z., Darek R., Bartek K., Andrzej K., Magda

ROWEROWY RAJD ZNICZOWY - 18.04.2010

Gdzie: Stary Marych – szlakiem wzdłuż Warty do Mosiny – Osowa Góra – Jez. Góreckie – Stęszew – źródełko Żarnowiec – Lusówko – Dąbrówka – Skórzewo – Poznań

Ile: „stówka”

Kto: Paweł Owczarzak team Northtec, Zbyszek Owczarzak team Raleigh, Kuba Stankowski team Wheeler, Dominik team Accent, Krzysiek team Northtec, Michał team GT, DJ team Trek, Zbyszek team Author, Darek team Peugeot, Bartek team Cube, Ewa team no name, Natalia team Unibike, Marta team Autor, Andrzej team Jamis, NN team Wheeler, NN team Unibike (1), NN team Unibike (2), NN team ? (oj, dużo tych eNeNów)

Nie tyle pomysł trasy był kontrowersyjny, co termin – dzień pogrzebu pary prezydenckiej – ofiar tragedii smoleńskiej. Nie widziałem jednak najmniejszego powodu, żeby zostać w domu i ładny dzień spędzić przed ekranem telewizora. Najwyraźniej nie byłem jedyny w swoich przekonaniach, gdyż w rajdzie wzięło udział wyjątkowo wiele osób.
Szlak wzdłuż Warty był tradycyjnie piękny, choć zaniepokoił mnie uszkodzony i zamknięty dla ruchu mostek na Wirence. Rozpoczyna się sezon, czy ktoś (znaczy, nadleśnictwo lub WPN, nie wiem) go naprawi? W Puszczykowie tradycyjnie zatrzymaliśmy się na lodach. W Mosinie dołączyły do nas dziewczyny: Ewa, Natalia (ku mojemu zaskoczeniu, jak wyjeżdżałem z domu, spała!) oraz Marta (po raz pierwszy na ekranie).
Z Mosiny podymaliśmy przez Osową i Jez. Góreckie do źródełka Żarnowiec, gdzie zrobiliśmy dłuższy, leniwy popas. Stamtąd – za znakami Pierścienie Rowerowego – podążyliśmy wzdłuż jez. Niepruszewskiego do Lusówka. Tam rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Większość z nas wróciła do Poznania szlakiem łącznikowym przez Dąbrówkę i Skórzewo. W okolicznych lasach jest wiele masowych grobów ofiar hitlerowców z początków II wojny światowej. I to był jedyny zniczowy akcent tego dnia. No, pewnie każdy z nas wieczorem obejrzał w TV relacje z pogrzebu Kaczyńskich…

Pomysłodawcą trasy był Paweł Owczarzak, za co jestem mu wdzięczny.

Andrzej Kaleniewicz

PS. Kilka dni później w Polska The Times ukazało się zdjęcie naszej grupy pod Starym Marychem, zrobione przez dziennikarza z tej gazety, gdzie zostaliśmy opisani jako „AKC”. Ręce opadają. Razem z gaciami…

ZEBRANIE – 21.04.2010

Kuba S., Mateusz R., Darek R., Ewa N., Paweł P.

TRZEBNICKI MARATON ROWEROWY – 23-25.04.2010

piątek

Po długiej, mroźnej i śnieżnej zimie złapałam w marcu fatalne zapalenie oskrzeli, które zwalczane trzema seriami antybiotyków, ciągnęło się przez cały miesiąc. W rezultacie na rower wsiadłam dopiero w kwietniu. Zaczęłam jeździć nim do pracy, a po pracy raz po raz robiłam króciutkie szosowe przejażdżki. Przygotowania do Trzebnickiego Maratonu Rowerowego zaczęliśmy z Krzysiem późno, bo … zaledwie tydzień przed startem! W sobotę 17 kwietnia zrobiliśmy szosową pętlę mającą 102km, w niedzielę, również na szosie wykręciliśmy 78km. Ostatni trening miał miejsce we wtorek, kiedy to obydwoje urwaliśmy się wcześniej z pracy i popełniliśmy traskę liczącą 76km po okolicznych górkach. Ta ostatnia jazda dodała mi wiary w siebie. Jechałam na ciężkim rowerze z terenowymi oponami o agresywnym bieżniku i jakimś cudem nie padłam!

Do Trzebnicy przyjechaliśmy samochodem w piątek około 19.00. Nocleg mieliśmy w szkole nr 3. Kiedyśmy zobaczyli, że prowadzi do niej stromy podjazd (licznik wykazał 9%), zrobiło mi się lekko słabo. Wyobraziłam sobie siebie po 240km, totalnie umartą, wlekącą się ostatkiem sił pod tę górę. Brr!

Wypakowaliśmy nasze bagaże oraz rowery i rozlokowaliśmy się w szkolnej sali gimnastycznej. Bardzo się ucieszyliśmy, gdy okazało się, że nie musimy spać na karimatach, bo dostępne są wygodne materace. W sali nie było tłoku. Nocowało nas tam raptem z 10 osób. Z znanych nam z poprzedniego roku byli: Jan Ambroziak i Andrzej Goński, rywal naszego przyjaciela Bernarda Mikołajczyka.

sobota

Sobota powitała nas piękna, słoneczna i rano bezwietrzna. Wiaterek miał się pojawić (i pojawił) po południu. W Trzebnicy do wyboru były tylko 2 dystanse: 120km traktowany w regulaminie jako mini i 240km – giga. Nie było dystansu pośredniego. Krzysztof wczytał się w regulamin i doszedł do bardzo istotnego wniosku, mianowicie, że jazda na 120km punktowo do klasyfikacji generalnej kompletnie się nie opłaca. W związku z tym postanowiliśmy jechać 240km. Jeśli chodzi o mnie, to było to rzucenie się na głęboką wodę, a być może nawet z motyką na słońce, gdyż mój rowerowy przebieg od 01 stycznia do dnia maratonu wynosił zaledwie 700km....

Zostałam przydzielona do pierwszej grupy i dostałam numer startowy 1. Nr 1 bardzo zwraca na siebie uwagę, doświadczyłam tego na trasie wielokrotnie. W mojej grupie były wszystkie dziewczyny jadące na rowerach zaliczanych ze względu na szerokość opon do kategorii „innych”. Ruszyłyśmy bardzo spokojnie, jak na niedzielny spacerek. Od początku starałam się być gdzieś z przodu i ani się nie spostrzegłam, jak zaczęłam jechać

jako pierwsza. Nie trwało to jednak długo, bo zza pleców wyskoczyła Agnieszka Ć. Jechała w przyjemnym dla mnie tempie. Szarpanie zaczęło się, gdy zaczęły do nas dojeżdżać kolejne grupki. Ostatecznie porwałyśmy się, gdy dogoniła nas Marta Stryjakowska. Wtedy Agnieszka poleciała za nią, a za Agnieszką Magda Janiszewska, która do tej pory jechała spokojnie gadając sobie ze mną. Ruszyłam za nimi, ale kręciły trochę za szybko i odpuściłam. W końcu nie mogłam marnować sił, bo przede mną był cały długi dzień jazdy i ogromny dystans do pokonania.

Jechałam zatem rozważnie. Wraz z dziewczynami całkiem szybko podczepiłyśmy się pod grupkę dziewczyn na kolarkach. Jechało się za nimi świetnie do czasu kraksy. Skręcałyśmy akurat w prawo i jedna z dziewczyn tego nie zauważyła. Jadąc dalej prosto wjechała w tą, która już zaczęła skręcać. Obie zaliczyły glebę. Zatrzymałam się przy nich, na szczęcie nic im się nie stało. Ucierpiał za to jeden z rowerów, przypuszczam, że zawodniczka, do której on należał nie kontynuowała jazdy.

Tymczasem reszta dziewczyn pojechała dalej i zorientowałam się, że zostałam sama. Pognałam więc za dwiema zawodniczkami Szerszeni Trzebnica, które nadal jeszcze miałam w zasięgu wzroku. Dogoniłam je i aż do czasu gdy dojechał Krzysztof i jeszcze dość długo potem trzymałyśmy się razem. Na pierwszym bufecie, w Miliczu nie zatrzymywaliśmy się.

Za Miliczem teren zaczął się robić lekko pagórkowaty. Jechało się fajnie, ale z Krzysztofem zaczęło się dziać coś niedobrego, musieliśmy się zatrzymać i puścić dziewczyny z Szerszeni. Okazało się, że jazda na niewypróbowanych ustawieniach roweru i na zmienionym dzień przed wyścigiem siodle może narobić wiele szkód. Krzysia tak bolał tyłek, że nie mógł w ogóle usiąść na siodełku. Podczas postoju kombinował z ustawieniami, ale to niewiele pomogło. Na długim odcinku trasy musiał jechać na stojąco. Zrobiło się bardzo prawdopodobne, że nie da rady przez tę kontuzję pojechać drugiej pętli. Umówiliśmy się, że jeśli on zakończy jazdę po 120km, a ja nadal będę się czuła dobrze, to na drugie okrążenie pojadę sama.

Po drodze Krzysztof zatrzymał się jeszcze raz by pokombinować z ustawieniem siodła i udało się! Nadal bolało ale dało się jechać. W miarę upływu kilometrów, kiedyśmy byli niecałe 30 km od Trzebnicy, podjazdy zaczęły się robić coraz bardziej długie i coraz bardziej strome. Pierwszy taki podjazd prowadził po dużych betonowych płytach. Nachylenie oscylowało tam między 4 a 5 %. Na jednej z płyt był białą farbą wymalowany napis: „**KOZA DAJE RADĘ**!” To motywowało. Skoro da się TO podjechać zwykłą kozą ..... ☺ Podjazd przeszedł w szosę. Krótko przed końcem wzniesienia było znowu wypisane coś o kozie, ale był to stary wyblakły napis i nie zdążyłam go odczytać.

Potem było raz pod górę a raz z góry, mozolne były podjazdy w okolicach Głuchowa Dolnego, Czachowa, w którym stał piękny stary zamek oraz Cerekwicy. Do samej Trzebnicy na szczęście było z górki. Kiedyśmy przejechali linię mety i jednocześnie punkt kontrolny dla 2 pętli, na placu targowym było pełno cyklistów, którzy już zakończyli jazdę. Daliśmy sobie 10 minut na bufet, tj. najedzenie się, napicie i dotankowanie wody. Przyznać trzeba, że bufet był świetnie zaopatrzony, a obsługa bardzo sympatyczna. Napiłam się nawet herbatki z cytryną!

Posileni zaczęliśmy drugą pętlę z słowami: „przeżyjmy to jeszcze raz!” Nogi miałam już obolałe i wcale nie było mi fajnie. Starałam się jednak tego bólu nie dopuszczać do świadomości. Wyobrażałam sobie, że oto dopiero co wyszłam na rower, że wcale nie jestem zmęczona i że te 120 km przejadę z palcem w nosie. Bojowo nastawiona chowałam

się za Krzysiem dzielnie rozcinającym wiatr. Po raz drugi pokonaliśmy pierwszy płaski i bardzo malowniczy fragment pętli. Podobał mi się zwłaszcza odcinek leśny, gdzie można było podziwiać stawy i podmokłe lasy.

Na bufecie w Miliczu spotkaliśmy Bernarda M. To dopiero było radosne spotkanie! Bernard ruszył z bufetu przed nami stwierdzając, że jedzie mu się źle i że na pewno go dogonimy. Faktycznie dogoniliśmy go na końcówce jednego z podjazdów. Przez wiele km jechaliśmy razem we trójkę. Razem podjechaliśmy „KOZĘ" i inne pagóry. Na jednym z kolejnych męczących podjazdów Krzysztof i ja zgubiliśmy Bernarda.

Na metę wpadliśmy po 19.00. Zakończyłam jazdę po 10 godzinach i 55 minutach (brutto). Na mecie ci, którzy jeszcze tam siedzieli gratulowali mi pokonania trasy. Okazało się, że byłam jedyną kobietą, która tego dnia przejechała obie pętle. Gosia P. zrezygnowała z drugiego okrążenia, bo nagliły ją obowiązki organizatora maratonu. Z drugiej pętli zrezygnowała też Irena K. Na punkcie żywieniowym na mecie najedliśmy się do syta, po czym pojechaliśmy do szkoły by wziąć prysznic i porządnie się wyspać.

Z licznika wyszło mi:
czas ..... 10:43:25 (netto, łącznie z czasem niedługiej przejażdżki po mieście przed maratonem),
dystans .....244,07 km (łącznie z kilometrami niedługiej przejażdżki po Trzebnicy przed maratonem),
średnia prędkość ..... 22,70 km/h,
maksymalna prędkość ....46,00 km/h,
temperatura minimalna 11ºC,
temperatura maksymalna 22ºC,
przewyższenie ..... 1254m (1325m z poranną i pomaratonową jazdą po mieście),
wysokość maksymalna ..... 232 m. n.p.m.,
nachylenie średnie 2%,
nachylenie maksymalne 7%

Podsumowując maraton trzeba stwierdzić, że został on zorganizowany na medal.
Trasa była oznaczona perfekcyjnie. Nie było ani jednego miejsca, gdzie by mogły się pojawić wątpliwości co do jej przebiegu.
Bufety były bardzo dobrze zaopatrzone. Były kanapki, placki, owoce, cukierki, woda, a nawet ciepła herbata z cytryną. Równie świetnie był zaopatrzony bufet na mecie.
Trasa prowadziła po mało ruchliwych szosach. Po drodze prawie nie spotykaliśmy się z samochodami.
Trzebnicka pętla była bardzo ładna widokowo. Mijaliśmy malownicze stawy, podmokłe lasy, pełne uroku wioski, a w jednym miejscu pofałdowane i zielone pola wyglądały jak te z tapety Windowsa ☺.

niedziela

W niedzielę po śniadaniu spakowaliśmy się i podjechaliśmy samochodem do trzebnickiego domu kultury, gdzie odbyło się uroczyste zakończenie maratonu. Jako jedyna dziewczyna, która przejechała 240km otrzymałam nie tylko statuetkę szerszenia za pierwsze miejsce ale też drugą statuetkę – nagrodę specjalną. Wręczyłam ją później Krzysiowi, który zawsze jedzie ze mną i nie tylko rozcina wiatr, ale też dodaje nowych sił dobrym słowem i samą swoją obecnością. Należało mu się ☺. Kiedy schodziłam z podium i ze sceny, na której ono stało, podszedł do mnie Bernard i w podziękowaniu za współpracę z dnia poprzedniego dał w prezencie żółte rowerowe skarpetki. Tym niespodziewanym

podarkiem sprawił mi wielką radość. Potem była loteria fantowa z bardzo cennymi nagrodami. Ja załapałam się na rowerową kamizelkę, Bernard wygrał zegarek Festiny, a Krzysiu niestety nic.

Marzena Szymańska

ZEBRANIE – 28.04.2010

Cezary, Marzena S. , Krzysztof C., Mateusz R., Ewa N., Paweł P., Borys, Darek R., Kuba S., Michał Z.

MAJÓWKA W MILICZU – 29.04.-03.05.2010

Marzena Szymańska

29.04.2010 – czwartek

Pomysł z kilkudniowym rajdem do Milicza kiełkował w mojej głowie od dłuższego czasu. Gdzieś od sierpnia ubiegłego roku, kiedy po supermaratonie szosowym w Kołobrzegu poznałam – dzięki Bernardowi Mikołajczykowi - Bolesława Zajiczka, człowieka legendę, który 9 stycznia 1951r., na skutek wybuchu granatu stracił dłonie obu rąk. Miał wtedy zaledwie 21 lat… Przeciętny człowiek pewnie by się załamał. Jednak p. Bolesław jest niezwykły, mimo tak wielkiej tragedii cały czas żyje bardzo aktywnie. Biega, jeździ na rowerze, uprawia ogródek, prowadzi (już od 50 lat!) drużynę harcerską, ratuje żaby, wziął udział w rowerowym rajdzie dookoła świata, wraz ze swoim przyjacielem Bernardem w roku 1997 jechali na rowerach całą dobę przejeżdżając w 24 godziny 487 km. Kaski z głów!

Bolesław Zajiczek od 1945r. mieszka w Miliczu, w krainie słynnych na całą Polskę stawów. Są to piękne tereny, których dodatkową zaletą jest stosunkowo niewielka odległość od Poznania. Stawy Milickie położone w kotlinowatych rozszerzeniach doliny Baryczy, w okolicach Milicza i Żmigrodu zostały założone przez cystersów w XIII wieku i są największym w Europie ośrodkiem hodowli karpia. Są również największym w Polsce rezerwatem przyrodniczym i jednym z cenniejszych ośrodków ornitologicznych na Starym Kontynencie. Ten ogromny kompleks liczy ponad 285 stawów, a ich łączna powierzchnia wynosi ok. 77 km².

Jakiś tydzień przed rajdem zaczęłam ustalać telefonicznie z p. Bolesławem szczegóły pobytu. Noclegi p. Bolesław załatwił nam w szkole podstawowej nr 2 w Miliczu, w swojej harcówce. Do dyspozycji mieliśmy kuchnię, stołówkę i prysznic. P. Bolesław zagwarantował nam również zwiedzanie okolic z przewodnikiem PTTK, oraz zaprosił w odwiedziny do siebie. Zapowiadał się bardzo ciekawy rajd ☺.

W czwartek, chwilę przed wyjazdem z Wierzenicy, zadzwonił do mnie p. Bernard, pytając gdzie jesteśmy. Myślał, że jedziemy rowerami i chciał (rowerem) wyjechać w kierunku Poznania nam na spotkanie. My jednak do Milicza, jechaliśmy samochodem i dotarliśmy na miejsce równo o godz. 20.00. Na ławce pod szkołą czekali już na nas panowie Bolesław i Bernard. Okazało się, że siedzieli tak od 18.30, na wypadek, gdybyśmy przyjechali wcześniej.

Zostaliśmy z Krzysiem oprowadzeni po szkole. P. Bolesław mówił, że budynek szkoły miał być szpitalem, dlatego korytarze są bardzo szerokie, a w wielu miejscach nie ma progów. W istocie szkoła była ogromna. Łatwo można się w niej było zgubić. Nauczyliśmy się trafiać do harcówki, do miejsca, skąd mieliśmy pobrać materace, do łazienki i do prysznica. Tyle na pierwszy dzień wystarczyło ☺.

Wieczorem przyjechali Tomek i Monika G. wraz z roczną córeczką – Alą. Dla małej był to pierwszy rajd z Cyklistą. Razem z nimi przyjechał też Michał Z. Na czwartkowy wieczór był to komplet rajdowiczów.

Twardogóra - 30.04.2010 – piątek

Piątek, zgodnie z prognozą pogody, był przepięknym dniem. Było słonecznie i tak ciepło, że ubrałam się w krótkie spodenki i koszulkę klubową Cyklisty z krótkim rękawem. Jako prowadząca ustaliłam, że wyjeżdżamy o 10.00. Na tę godzinę poza: Moniką, Tomkiem, małą Alą w przyczepce, Michałem, Krzysiem i mną przyjechał też nasz przyjaciel p. Bernard oraz cztery nowe osoby: Kasia i Bartek wraz z synami Piotrem i Pawłem. Podczas rajdu okazało się, że Kasia mająca zacięcie turystyczne jest jednocześnie szybka i wytrzymała, natomiast Bartek wyraźnie był zorientowany na jazdę w stylu maratonowym, bez przystanków na fotografowanie i podziwianie krajobrazów, tudzież zabytków. Prowadząc rajd, podczas tego i kolejnych dni starałam się sprostać potrzebom wszystkich uczestników, co ostatecznie wcale nie było takie łatwe ☺.

Początek rajdu zrobiłam szosowy. Pojechaliśmy na południe w stronę Twardogóry przez Wierzchowice i Krośnice. P. Bernard pokazał nam ciekawą, prawie wcale nie uczęszczaną przez samochody, wąską szosę. Odbijała ona w prawo przed Pierstnicą i wychodziła na inną (główniejszą) szosę w miejscu nieznacznie oddalonym na północ od Łazów Wielkich. Dzięki temu, że za poradą p. Bernarda wybraliśmy tę szosę, później w Bukowicach zamiast podjazdu mieliśmy przyjemny zjazd.

Tymczasem zanim nasza wąska szosa się skończyła, wypatrzyliśmy górę, na szczycie której stała wieża. P. Bernard opowiedział nam, że na wieżę, będącą dostrzegalnią pożarową niestety nie można wejść. Mimo to postanowiliśmy zdobyć górę. Gęślica była najwyższym punktem jaki osiągnęliśmy podczas całej naszej wyprawy. Miała 242 m. n.p.m. Nie dochodził do niej asfalt a ścieżka terenowa, z której przypuściliśmy atak była dzika i nie do końca przejezdna. Na szczycie pod wieżą zrobiliśmy sobie krótką przerwę. Terenowy zjazd z góry udało mi się w całości pokonać w siodle.

Dojechaliśmy do Łazów Wielkich, a z nich szosą do Bukowic, z których – również asfaltem – udaliśmy się do Grabowna Małego. Zaplanowałam terenowy przejazd do Grabowna Wielkiego. Prowadził do niego niebieski szlak pieszy oznaczony na mapie dodatkowo jako Czarny Wąwóz. Na papierze wyglądało to dość ciekawie. Zapowiadały się ładne widoki, postanowiłam więc, że pojedziemy tamtędy. Trochę obawiałam się o p. Bernarda, który jechał na wąskich oponach, takich samych jakie ja zwykle zakładam na maratony szosowe, tym bardziej, że miał je napompowane na kamień. Uznałam jednak, że ponieważ terenu będzie niewiele, jakoś damy sobie wszyscy radę.

Niebieski szlak pieszy będący Czarnym Wąwozem przekroczył nasze najśmielsze oczekiwania. Tego nikt się nie spodziewał: kłujące zarośla, krzaki, powalone drzewa, błoto, strumyki, bagienka. Z krótkiego odcinka terenowego zrobiła się prawdziwa przeprawa z przedzieraniem się przez krzaczyska oraz tworzeniem prowizorycznych przejść przez bagienka przy pomocy większych gałęzi, rzucanych w błoto dużych kamieni

i cegieł. Wydostanie się z dzikich ostępów Michał przypłacił odrapaną w wielu miejscach do krwi nogą. Zanim udało nam się dostać do Grabowna Wielkiego musieliśmy się jeszcze przespacerować wyjątkowo wyboistą łąką.

Do Twardogóry poprowadził nas piękny, długi, łagodny szosowy zjazd, który zdawał się nie mieć końca. W miasteczku dopadliśmy do jednego ze sklepów, by kupić picie i jedzenie. Ja zainwestowałam w wodę i w babkę. W parku pod kościołem spotkaliśmy się z Moniką, Tomkiem i Alą. Ze względu na małą w przyczepce, Monika i Tomek zarówno tego dnia jak i w pozostałe dni często jechali trochę innymi drogami niż my. Zawsze jednak w jakimś miejscu się spotykaliśmy i to często kilka razy w ciągu dnia. Zrobiliśmy wspólną fotkę i pojechaliśmy w drogę powrotną do Milicza.

Uczestnicy rajdu domagali się więcej terenu, więc w Twardogórze przeprojektowałam trasę. Brałam pod uwagę wąskie opony w rowerze p. Bernarda, dlatego zdecydowanie zrezygnowałam ze szlaków pieszych, które lubią być dzikie i nieprzejezdne, na rzecz szlaków rowerowych, będących zazwyczaj w lepszym stanie przejezdności. Z Twardogóry pojechaliśmy czerwonym szlakiem rowerowym do wioseczki o śmiesznej nazwie Trzy Chałupy. Wioska najwidoczniej od czasu nadania nazwy się rozwinęła, bo chatek stało w niej aż 5 ☺. Wyjeżdżając z Trzech Chałup obcięliśmy trochę szlak czerwony robiąc sobie mały skrót, by niedługo znowu się ze szlakiem spotkać. Rowerowy szlak czerwony był co prawda w 100% przejezdny jednak dość mocno zapiaszczony. Podziwiałam mojego przyjaciela Bernarda. Na wąskich oponach radził sobie świetnie. Nie usłyszałam z jego ust ani jednego słowa skargi.

Szlakiem dojechaliśmy do Kuźnicy Goszczańskiej i dalej do Nowej Wsi Goszczańskiej, w której przecinaliśmy szosę nr 448. Na szosie tej odłączył od nas p. Bernard. Postanowił asfaltami wrócić do Milicza. My natomiast dalej jechaliśmy w terenie szlakiem czerwonym. Objechaliśmy staw Zakrzewo, zatrzymując się na malowniczych punktach widokowych. Szlak wyprowadził nas na szosę, w którą skręciliśmy w lewo, i na której spotkaliśmy Monikę, Tomka i Alę. Szosą tą jechaliśmy do Grabownicy. Przed miejscowością zjechaliśmy na chwilę w teren, by wejść na drewnianą wieżę widokową. Wieża nie była bardzo wysoka, jednak roztaczał się z niej przepiękny widok na stawy. Podczas pobytu na wieży przypadła pora karmienia Ali. Poczekaliśmy, patrząc na nieubłaganie zasłaniające błękit nieba deszczowo – burzowe chmury. Z Grabownicy szosą pojechaliśmy do Kotlarki i dalej szosą do Czatkowic. Przed Czatkowicami skręciliśmy w prawo na drugą Grabownicę i ładną widokowo szosą przez Rudę Milicką i Sławoszowice wróciliśmy do Milicza.

W szkole zdążyliśmy się przebrać i naprędce coś zjeść przed pojawieniem się panów Bolesława i Bernarda, którzy zorganizowali nam przewodnika PTTK. Na wieczorne zwiedzanie przyjechała też Kasia wraz ze swoim teściem, p. Zbigniewem. Pojechaliśmy zwiedzać na 2 samochody. W naszym aucie zabrali się przewodnik i teść Kasi. Okazało się, że ten drugi posiada sporą wiedzę krajoznawczą o Miliczu i okolicach. Podczas jazdy obaj panowie prowadzili zawziętą dyskusję, której fantastycznie się słuchało.

Odwiedziliśmy znajdującą się w południowej części Milicza „Ostoję" – miejsce biwakowania i hodowli konika polskiego. Podjechaliśmy do OSIRu, który oferuje nie tylko obiekty noclegowe, boiska i halę sportową ale też imponujący odkryty basen o wymiarach 100x100m. Wybraliśmy się również zobaczyć ruiny murowanego milickiego zamku, który powstał w połowie XIV wieku. Zamek położony jest nizinnie na lewym brzegu Baryczy, wśród zalewowych łąk nadbaryckich. Zamek został zniszczony przez pożar w roku 1797r.

Ostatnim obiektem, który pokazał nam przewodnik był klasycystyczny pałac. Ciekawostką była nieczynna fontanna zdobiona scenami miłosnymi, zwana też fontanną erotyczną. Pałac był otoczony parkiem o powierzchni 48 ha, utrzymanym w stylu angielskim, poprzecinanym kanałem Młynówki. Obecnie pałac należy do Starostwa Powiatowego w Miliczu i mieści się w nim technikum leśne.

Po całym dniu spędzonym na rowerach i po wieczornym zwiedzaniu z apetytem zjedliśmy pizzę.

Z licznika wyszło:
dystans 80,43 km,
czas 4:46:36,
prędkość średnia 16,8 km/h,
prędkość maksymalna 36,5 km/h,
przewyższenie 408 m,
wysokość maksymalna 242 m,
nachylenie średnie 2%,
nachylenie maksymalne 16%,
temperatura 28ºC

Kompleks Stawno, Trzebicko, Kompleks Potasznia - 01.05.2010 – sobota

Drugi dzień rajdu nie był już ani tak ciepły ani słoneczny jak pierwszy. Było pochmurno i dużo chłodniej. Na szczęście nie wiało. Rano Krzysztof stwierdził, że po piątkowej jeździe boli go powypadkowa noga i postanowił sobie zrobić dzień odpoczynku. Krótko po 10.00 pod szkołą zgromadziła się sobotnia ekipa rajdowa w składzie: prowadząca, Monika, Tomek, Ala, Michał, Darek, Kasia, Bartek, Adam – najmłodszy syn Kasi i Bartka oraz p. Zbigniew, którego poznaliśmy dnia poprzedniego.

Z Milicza dojechaliśmy wszyscy razem do niebieskiego szlaku pieszego, który zgodnie z tym co było na mapie miał nam pokazać północno- zachodnią część **Kompleksu STAWNO**. Znaki szlaku wypatrzyliśmy przy Jazie Sławoszowice. Zrobiliśmy kilka fotek i zdecydowaliśmy się rozdzielić. Monika i Tomek z Alą w przyczepce oraz p. Zbigniew pojechali do Nowego Grodziska łatwiejszą technicznie trasą, natomiast ja i reszta ekipy wpuściliśmy się w niebieski szlak pieszy.

Szlak okazał się bardzo dziki, prowadził wałem. Był wąski, wyboisty i niemożliwie zarośnięty. Krótko po starcie musieliśmy się zatrzymać, bo Adaś złapał kapcia w tylnym kole. Podczas postoju Kasia poratowała nas wszystkich preparatem przeciwko komarom. Przedzieraliśmy się wśród wysokich traw przez kilka kilometrów. Kiedy dojechaliśmy do Nw. Grodziska, Tomek, Monika, Ala i p. Zbigniew już na nas czekali. Jako ostatni dojechał Darek, który tego dnia testował swój świeżo zakupiony rower. Kiedy wyjeżdżał na szosę zaliczył glebę i ucałował asfalt ☺.

Z Nw. Grodziska zrobiliśmy krótką pętlę po terenie Kompleksu Stawno w celu jego lepszego rozpoznania. Jechaliśmy wąską szosą rozdzielającą 2 stawy i prowadzącą na południe w stronę Rudy Milickiej. Po prawej stronie mieliśmy piękny widok na Staw Słoneczny Górny, po lewej – równie atrakcyjny na Stawy Wilczy Duży i Wilczy Mały. Przed Rudą Milicką odbiliśmy w lewo w ładnie ubitą, równą gruntówkę. Gruntówką tą dojechaliśmy do Dymin, skąd wróciliśmy do Nw. Grodziska. Dalej udaliśmy się na północ szosą, by niedługo odbić w lewo, w szlak zielony okrążający staw Gadzinowy.

Na chwilę zatrzymaliśmy się na punkcie widokowym. Naszą uwagę zwrócił szeroki pas pokoszonej roślinności unoszącej się na wodzie i wchodzący daleko w głąb stawu oraz spora ilość mew. Terenem dojechaliśmy do szosy. Na rozdrożu Bartek i Adaś odłączyli od nas, a my szosą pomknęliśmy w stronę Dzierzgowa. Skręciliśmy w prawo i po wjeździe do Nw. Zamku zjechaliśmy w lewo w niebieski szlak, który towarzyszył nam aż do Śmielic. W Śmielicach odbiliśmy w lewo i od tego momentu aż do Trzebicka towarzyszył nam czarny szlak rowerowy.

TRZEBICKO odwiedziliśmy za namową p. Zbigniewa. Faktycznie warto było się tam wybrać. Do wioski prowadził długi ale łagodny asfaltowy podjazd. Ze szczytu roztaczał się przepiękny i rozległy widok na Dolinę Baryczy. Przerwę zrobiliśmy pod barokowym drewnianym kościółkiem p.w. św. Macieja z 1672 r. P. Zbigniew udał się na probostwo i załatwił zwiedzanie wnętrza tego ciekawego kościoła. W międzyczasie dojechał do nas Bartek, który zostawił Adasia u rodziny.

Przed ruszeniem w dalszą drogę odłączył od nas p. Zbigniew. Cofnęliśmy się szosą do Jankowej. W wiosce odbiliśmy szosą w lewo, szybko docierając do Tworzymirek i Tworzymirek Górnych oraz Wziąchowa Małego i Wielkiego, w tym ostatnim zatrzymaliśmy się przy ładnie utrzymanym dworku. W Gądkowicach zjechaliśmy w niebieski szlak pieszy. Był on w całości przejezdny, zaprowadził nas do leśniczówki i do zamku myśliwskiego „Hubertówka", gdzie zatrzymaliśmy się na posiłek. Dalsza część niebieskiego szlaku prowadziła w kierunku kompleksu Potasznia początkowo wąską, później szeroką i wygodną ścieżką.

Zatrzymaliśmy się na chwilę na mostku przerzuconym przez Barycz, by obfotografować zabytkowy Jaz Potasznia. Szlakiem dobiliśmy do szosy w miejscowości o nazwie Kopice. Dalej jechaliśmy północnym skrajem **Kompleksu POTASZNIA**. Przejechaliśmy przez Potasznię i Bracław, w którym natrafiliśmy na szlak zwiniętych torów. Na mojej mapie była pewna nieścisłość, ponieważ szlak ten, idealnie przejezdny i wyjątkowo urokliwy, był zaznaczony jako istniejąca linia kolejowa! Na szosę wylecieliśmy w Grabownicy i stamtąd przez Rudę Milicką i Sławoszowice, w których wreszcie znaleźliśmy czynny sklep, wróciliśmy do Milicza.

Z licznika wyszło:
dystans 63,41 km,
czas 4:25:07,
prędkość średnia 14,3 km/h,
prędkość maksymalna 34,0 km/h,
przewyższenie 112 m,
wysokość maksymalna 151 m,
nachylenie średnie 1%,
nachylenie maksymalne 3%,
temperatura 17ºC

Wieczorem, po króciutkim odpoczynku, odwiedziliśmy p. Bolesława Zajiczka, który oprowadził nas po swoim niezwykłym domu, w którym jeden z pokoi w całości zajmują puchary, odznaczenia, medale i dyplomy. Na zakończenie wizyty wyszliśmy wszyscy na ogródek p. Bolesława gdzie zrobiliśmy sobie pamiątkową fotkę.
Po powrocie do szkoły poszliśmy do kuchni przygotować jedzonko - przepyszne spaghetti.

Żmigród - 02.05.2010 – niedziela

Na niedzielę zaplanowałam wypad do Żmigrodu, celem było nie tylko zwiedzenie miasteczka, ale też kibicowanie szosowcom podczas czasówki. Wśród startujących zawodników byli p. Bolesław i Bernard. P. Bernard przed wyjazdem do Żmigrodu podjechał rowerem pod szkołę, by przywitać się z nami, po czym szosami poleciał do Żmigrodu. My w składzie: Krzysztof, Kuba, Michał, Kasia, Bartek, Darek, Ewa, Paweł, Monika, Ala, Tomek oraz ja ruszyliśmy do Żmigrodu chwilę później.

Pojechaliśmy do Ostoi i tam złapaliśmy niebieski szlak rowerowy. Okazał się on bardzo piaszczysty. Mimo, że niedawno padało, piaski i tak dawały się nam we znaki. Dojechaliśmy do Sułowa, w którym naszą uwagę zwrócił zabytkowy budynek spichlerza o konstrukcji szkieletowej pochodzący z 1820r. Wrażenie zrobił też usytuowany na górce kościół p.w. MB Częstochowskiej zbudowany na planie ośmioboku z muru pruskiego w latach 1765-1767. Niestety trochę zabrakło nam czasu na bliższe przyjrzenie się pałacowi. Na rynku zrobiliśmy sobie sklepową przerwę.

Po przerwie szosą pojechaliśmy do Łąk i wkrótce wbiliśmy się w terenowy niebieski szlak rowerowy. Ze szlaku miały być piękne widoki na stawy. Byliśmy trochę rozczarowani, bo stawy widniejące na mapie były akurat spuszczone i zamiast wody mogliśmy obserwować jedynie dość rozległe zagłębienia w terenie. Szosą dojechaliśmy do Rudy Sułowskiej a potem do Grabówki i dalej niebieskim pieszym do Niezgody. W Niezgodzie podzieliliśmy się. Kuba, Ewa oraz Paweł stwierdzili, że nie zależy im aż tak na oglądaniu wyścigu szosowców i pojechali do Żmigrodu terenem.

Tymczasem grupka w składzie: Krzysztof, Michał, Darek, Kasia, Bartek oraz ja polecieliśmy do Żmigrodu szosami. Spieszyło nam się, więc deptaliśmy mocno. Jechałam nie wiedząc jaką mamy prędkość, bo licznik miałam zasłonięty mapnikiem. Zmienialiśmy się w ciągnięciu peletoniku i brałam w tych zmianach czynny udział. Krzysztof potem mówił, że prędkość oscylowała w granicach 28-31 km/h. Nasza kameralna czasówka przecinała **Kompleks RADZIĄDZ**. Po lewej stronie mieliśmy najpierw Staw Jeleni III, potem Staw Jeleni I, a po prawej Stary Staw. Niestety z szosy nie były one zbyt dobrze widoczne, bo zasłaniały je drzewa. Do Żmigrodu dojechaliśmy szybko, mijając po drodze Radziądz, Nowe Domy i Żmigródek.

Zanim udaliśmy się na miejsce wyścigu, poświęciliśmy kilka chwil na zwiedzenie częściowo odrestaurowanych ruin pałacu – dawnej rezydencji Hatzfeldów stojących w otoczeniu parku. Pałac został podpalony w 1945r., zachowała się jednak stojąca tuż obok XVI-wieczna wieża dawnego zamku. Spod ruin zamku pojechaliśmy przez rynek na miejsce wyścigu. W okolicach linii startu / mety spotkaliśmy znajome twarze z klubu Szerszenie Trzebnica oraz dowiedzieliśmy się, że Bolesław i Bernard już wystartowali i są jeszcze na trasie. Niecierpliwie wyglądaliśmy ich wjazdu, by zgotować im radosne powitanie.

Kiedy nasi przyjaciele zakończyli wyścig, pogadaliśmy chwilę, a potem podjechaliśmy do reszty naszej klubowej ekipy, która zrobiła sobie prawdziwą obiadową ucztę. My, mający puste żołądki, z chęcią do nich dołączyliśmy i też zjedliśmy obiadek ☺. Po obiedzie szosą pojechaliśmy przez Osiek Mały i Osiek do Bukołowa, gdzie złapaliśmy czerwony szlak rowerowy. Na niedługim odcinku między Osiekiem a Bukołowem jechaliśmy sobie razem z p. Bolesławem, który wracał po czasówce do Milicza.

Szlak czerwony między Bukołowem a Gąskami i Przyborowem był bardzo piaszczysty. Darek jadący na rowerze z wąskimi oponami miał serdecznie dość piaszczystych

okoliczności przyrody i gdy tylko pojawiła się szosa rzucił się na kolana i ucałował ją, co zostało zresztą uwiecznione na fotce ☺ oraz zadecydował, że dalej pojedzie szosą i spotka się z nami w Gruszeczce.

Z Przyborowa szosą, zielonym szlakiem rowerowym, pojechaliśmy do Koniowa. Kawałek za Koniowem wjechaliśmy w teren i w las. Kiedy szlaki zielony rowerowy i czerwony pieszy spotkały się na leśnym rozdrożu, wybraliśmy szlak czerwony. Wkrótce mieliśmy się przekonać, że nie był to najlepszy pomysł. Po drodze czekały na nas takie atrakcje jak: piach kopny, głębokie błotne koleiny wyrobione przez ciężki leśny sprzęt oraz wiatrołomy utworzone z potężnych drzew. Nie zabrakło komarów i innych krwiopijców, które motywowały nas do szybszego przedzierania się przez dzikie ostępy. Kiedy w końcu udało nam się wydostać na szosę Kasia i ja powtórzyłyśmy to co przed nami uczynił Darek, mianowicie ucałowałyśmy z radości asfalt. Fotki tym razem nie powstały, bo padła bateria w aparacie.

W Gruszeczce uważnie się rozglądaliśmy ale Darka nie znaleźliśmy. Nie miał ze sobą telefonu więc nie było żadnej możliwości by się z nim skontaktować. Pojechaliśmy zatem dalej, do Sułowa gdzie zrobiliśmy postój przy sklepie i wtedy zadzwonił telefon. Był to Darek, który pożyczył od kogoś telefon. Chwilę później byliśmy w komplecie. Droga do Milicza upłynęła nam pod znakiem pofałdowanych bocznych szos, które prowadziły przez: Sulimierz, Słączno, Węgrzynów, Piękocinek i Świętoszyn. Przejechaliśmy przez mostek na Baryczy i wjechaliśmy do Milicza.

Po powrocie do bazy dogotowaliśmy spaghetti, które z apetytem zjedliśmy, a gdy już się porządnie najedliśmy, pograliśmy w scrabble.

<u>Z licznika wyszło:</u>
dystans 78,46 km,
czas 4:27:08,
prędkość średnia 17,6 km/h,
prędkość maksymalna 40,5 km/h,
przewyższenie 131 m,
wysokość maksymalna 134 m,
nachylenie średnie 1%,
nachylenie maksymalne 4%,
temperatura 17ºC

Rybka w Rudzie Sułowskiej – 03.05.2010 – poniedziałek

Ostatniego dnia pobytu w Miliczu pogoda nie była łaskawa. Pospaliśmy trochę dłużej niż w pozostałe dni. Mogliśmy sobie na to pozwolić – na dzień kończący majówkę w Miliczu zaplanowałam krótki, niespełna 40 kilometrowy wypad do Rudy Sułowskiej na rybkę. Zanim zjedliśmy śniadanie i spakowaliśmy się do wyjazdu, minęło sporo czasu. Chwilę po tym jak wsiedliśmy na rowery, zaczęło kropić. Potem mżawka przeszła w regularny słaby opad deszczu i konieczne było założenie kurtek przeciwdeszczowych.

Pojechaliśmy w następującym składzie:
ekipa terenowa: Ewa, Paweł, Kuba
ekipa szosowa: Tomek, Monika, Ala, Michał, Darek, Krzysztof, ja.
Ostatniego dnia niestety nie towarzyszyli nam już Kasia i Bartek, ponieważ musieli wcześniej wrócić do Poznania. Pojechaliśmy początkowo wszyscy razem szosą przez Świętoszyn i Piękocinek. Szybko od nas odłączyła terenowa trójka. Kontynuowaliśmy

jazdę szosą do Węgrzynowa. Tomek wpadł na pomysł, by jechać przez Dunkowę i Brzezinę Sułowską, a potem zrobić krótki odcinek terenem. Nikt nie protestował, więc pomysł został zrealizowany. Później Krzysztof opisał naszą terenową przeprawę w taki sposób:

„Ekipa dzieli się na część terenową i szosową (z przyczepką z dzieckiem). Grupa szosowa wybiera gruntówkę. Początkowo nieco inną niż trzeba, ale po chwili się orientujemy i jesteśmy na właściwej drodze. Przyczepka nieco podskakuje, ale jest git. Zaczyna padać deszcz. Tomek od nadmiaru mocy w celu przejechania rowerem z przyczepką przez głęboki piach ukręca małą tarczę z przodu. Okazuje się dalej, że gruntówka powinna przechodzić przez jeden z licznych kanałów, ale mostku brak. Deszcz się nasila, dziecko się budzi i płacze, a my ciągniemy wzdłuż kanału, gdzie tylko kaczki podrywają się do lotu. Natrafiamy w końcu na most. Dostępu broni brama zamknięta na kłódkę, z góry pręty i drut kolczasty, po bokach dodatkowe płotki, żeby nikt nie wszedł z boku. A przez pręty widać już cel naszej podróży... Ostatecznie po odkryciu jedynie tradycyjnego mocowania bramy, dało się ją wystawić. :)”

Na miejscu, w Rudzie Sułowskiej przemoczeni i zmarznięci spotkaliśmy się z Ewą, Pawłem i Kubą. Zjedliśmy rybkę i wróciliśmy do Milicza. Kuba i Darek spieszyli się na pociąg i zrobili sobie czasówkę, aby na niego zdążyć. Michał, Krzysztof i ja podłączyliśmy się do nich, by się rozgrzać szybką jazdą. Jechaliśmy przez: Sułów, Sulimierz, Słączno, Węgrzynów, Piękocinek i Świętoszyn.

<u>Z licznika wyszło:</u>
dystans 33,64 km,
czas 1:55:35,
prędkość średnia 17,4 km/h,
prędkość maksymalna 38,5 km/h,
przewyższenie 115 m,
wysokość maksymalna 166 m,
nachylenie średnie 1%,
nachylenie maksymalne 3%,
temperatura 15ºC

Na miejscu, w Miliczu, dokończyliśmy pakowanie bagaży i zanim rozjechaliśmy się do domów, skoczyliśmy jeszcze do p. Bolesława by podziękować za pomoc w zorganizowaniu rajdu.

<u>podsumowanie całego rajdu:</u>
dystans 257,94 km,
czas 15:34:26,
prędkość średnia 16,5 km/h,
prędkość maksymalna 40,5 km/h,
przewyższenie 766 m.

Marzena Szymańska

ZEBRANIE – 05.05.2010

RAJD DO ZIELONKI - 08.05.2010

Uczestników: 9
Dystans: 90 km

Trasa: Marych, ścieżkami nad Wartą do Gajówki Naramowice, Nadwarciańskim Szlakiem Rowerowym do Biedruska, most w Bolechowie, ścieżkami nad Wartą do Owińsk, ścieżką pomiędzy stawkami w Owińskach do leśniczówki Potasze, niekoniecznie-najkrótszą-drogą do Pławna, Kamińsko, Okoniec, ścieżkami nad jeziorem Pławno i zielonym szlakiem do Tuczna, przez Pruszewiec i Skorzęcin nad j. Kowalskie, lasami do Wierzenicy, dalej do Poznania

Inne: tabuny meszek, jeden zgubiony klocek hamulcowy (Paweł), jeden zerwany łańcuch (Paweł)
Kuba Stankowski

RAJD NA POŁUDNIE - 09.05.2010

Uczestników: 3
Dystans: 80 km

Trasa: Marych, NSR do Dębiny, most kolejowy na Starołęce, Szlak „Dolina Głuszynki", Głuszyna, Daszewice, czerwony szlak pieszy do Rogalina, dalej wzdłuż Warty do mostu w Rogaliku, Niwka, Puszczykowo, Mosina, Osowa Góra, jezioro Góreckie, Osowa Góra, Mosina, Puszczykowo, Luboń, Poznań

Ruszyliśmy w dwójkę z pod Marycha i dość żwawym tempem pojechaliśmy do Głuszyny. Tam zgarnęliśmy Radka i ryszyliśmy pieszym szlakiem do Rogalina. Dalej przebijaliśmy się przez piachy na szlaku wzdłuż Warty. W Puszczykowie zrobiliśmy sobie postój i skonsumowaliśmy lody w cukierni koło stacji kolejowej. Następnie pojechaliśmy do Mosiny, dalej na Osową Górę. Zrobiliśmy pętlę zahaczającą o jezioro Góreckie i przez Osową Górę wróciliśmy do Mosiny. Spędziliśmy trochę czasu na grilu u Ewy i Pawła, a następnie wróciliśmy do Poznania.
Kuba Stankowski

ZEBRANIE – 12.05.2010

Marzena S, Kuba S., Michał Z., Darek R. Maciej D i Paweł P.

WALNE ZEBRANIE – 15.05.2010